Nr. 53. We Lwowie dnia 31. Grudnia 1899. Rok I.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

33)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Z Bolkołaku wyruszyliśmy w dalszą podróż 28. sierpnia, dążąc ku ujściu Oleneka, i tegoż samego dnia stanęliśmy tam na noc u podnóża góry Tumul-Chaja, stanowiącego wschodnią granicę ujścia, a zarazem zachodnią granicę zatoki morskiej, zwanej Stan-Kagła. Na wierzchołku góry wznoszą się krzyże, widziane już zdaleka; miejsce, gdzie one stoją, nazywają Jakuci „Ułakan - Krest“. Stulecie całe i ponadto lat około 30 minęło od chwili, gdy w tej dalekiej, dzikiej krainie, na wybrzeżu Oceanu Lodowatego zakończył życie oficer floty rosyjskiej Pronczyszczew, naczelnik ówczesnej t. zw. wielkiej ekspedycji, wysłanej przez ministerjum marynarki na lat 10 w okolice północnej Syberji. Ekspedycja ta miała polecenie zbadania i opisania krainy polarnej, a zarazem odszukania drogi dogodnej, morskiej dla celów bezpośredniej komunikacji pomiędzy Rosją europejską a odległemi jej posiadłościami u Ochockiego morza i na Kamczatce. Długi pobyt na północy, przy ówczesnych środkach, mało odpowiadających warunkom hygjenicznego życia zniszczył zdrowie odważnego marynarza, dowódcy wyprawy, umarł tu wśród zimy na szkorbut i pogrzebano go na przylądku Tumul-Chaja, w pobliżu obozowiska, gdzie podówczas się znajdowała cała ekspedycja. Młoda żona Pronczyszczewa, towarzyszka nieodstępna i nieustraszona w tej wyprawie zgasła w kilka dni potem i spoczęła obok męża. Takie poświęcenie ze strony młodej kobiety, mającej jedynie na celu niesienie ulgi moralnej i pociechy umiłowanemu małżonkowi, jej męstwo, odwaga, cierpliwość w znoszeniu największych trudności i dolegliwości życia bez słowa skargi, dają świadectwo o tem, do jakiej bezgranicznej ofiarności, do jakiego stopnia zaparcia się są zdolne niewiasty szlachetne i kochające.

Czekanowski w sprawozdaniu swojem z podróży na Olenek, wygłoszonem na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego w Petersburgu uczcił pamięć bohaterów tej ekspedycji polarnej wspomnieniem serdecznem i wskazał na to, że obowiązkiem dla pokoleń potomnych powinno być wzniesienie nad mogiłą poległych trwalszego pomnika, niż były krzyże drewniane, sklecone z desek okrętowych. Czy życzeniom Czekanowskiego stanie się zadość? wątpić należy, ale to pewno, że z chwilą, gdy w analach podróży podbiegunowych zapisane zostały imiona Pronczyszczewych z pełnem uznaniem dla ich działalności ofiarnej i szlachetnej, postawiono im w ten sposób monument trwały, który zachowa ich imiona w pamięci wieków dłużej, niż trwać może zwykły obelisk mogilny, chociażby nawet ze spiżu odlany.

W czasie naszego pobytu u ujścia Oleneka, zebrał Czekanowski w okolicy Tumul-Chaja paręset okazów skamielin, zbadał pokłady i wzbogacił zielnik kilkunastu gatunkami roślin trawiastych, które odszukał po jarach nadbrzeżnych. Skończywszy zajęcia u ujścia, rozstaliśmy się na chwilę z doliną Oleneka i podążyliśmy na wschód, wzdłuż wybrzeży oceanu, niskich, torfiastych, podmokłych. 29. sierpnia nocowaliśmy w uroczysku Stan-Kagła, położonym u zatoki, noszącej to samo miano. Tu burza morska wyprawiła nam niezwykłe i wspaniałe widowisko, przy akompanjamencie ryku fal, wycia wiatrów, przy łomocie i trzasku tartych o siebie i o wybrzeże olbrzymów drzewnych; te ostatnie były kolejno to wyrzucane na ląd i składane na szczytach wałów dawnych, leżących u brzegu, to ścią-

gane napowrót w topiele morskie. Noc całą trwała ta burza, przejmując nas grozą i dając pojęcie o tych strasznych chwilach, jakie przeżywać musieli dawniejsi marynarze z czasów Pronczyszczewa, gdy pływali tutaj na statkach żaglowych, po większej części źle i nieumiejętnie zbudowanych. Noc przepędziliśmy w drewnianej jurcie, bez drzwi i okien, grzejąc się u dużego ogniska, rozniecionego pośrodku jurty na palenisku, zrobionym z gliny i kamieni. Jurty takie nazywają „powarniami", i stawiają je w miejscach, dogodnych dla wypoczynku podróżnych i myśliwych, zmuszonych jeździć po okolicach tamtejszych. Całe wybrzeże zatoki Stan-Kagła, w głąb lądu prawie na wiorstę, jest zasłane materjałem, wyrzuconym przez ocean. Obfitość tu drzewa jest wprost zdumiewająca, ale o niej można mieć dopiero wtenczas właściwe pojęcie, gdy się widzi całą ilość kłód, belek i pni, pływających na powierzchni fal oceanu u jego brzegów w czasie, gdy panują wiatry północne. 30-go sierpnia obóz nasz wyprawiony został do Dżiankiru, małej osady jakuckiej, położonej u zatoki tego samego nazwiska, w niewielkiej odległości od przylądku Krestowskiego (Krestowskij mys); my zaś sami w towarzystwie jednego przewodnika, wiodącego parę jucznych reniferów, wracamy ku dolinie Oleneka, ażeby jeszcze raz obejrzeć pokłady czarnego łupku i szarego piaskowca w dolinie rzeczki Mengilag i ażeby zebrać co najwięcej skamieniałości w tamtych okolicach. Dwie doby trwała wycieczka niniejsza wzbogacając nasze zbiory licznymi nowymi okazami i gatunkami skamielin. Wróciliśmy do Dziankiru wprawdziez męczeni, lecz zadowoleni pomyślnem zakończeniem badań w dolinie Oleneka. Chodziło nam teraz tylko o to, ażeby zbiory nasze, z takim trudem nagromadzone, mogły być szczęśliwie dowiezione na miejsca. W Dżiankirze zastaliśmy głównego naczelnika Jakutów Zygańskich, księcia jakuckiego, Konstantego Bobrowskiego; przybył on tutaj na nasze spotkanie z zawiadomieniem, że wszelkie przygotowania do dalszej drogi na dolinę Leny są już ukończone, i że renifery zaprzęgowe i wierzchowe, następnie sanie, namioty i przewodnicy liczni czekają na nas w dolinie rzeczki Bor-Syr, wpadającej do Oleneka, a mianowicie w pobliżu osady jakuckiej, tejże samej nazwy, dokąd już pewna ilość mieszkańców wróciła z letnich swoich sadyb.

Nazwa naczelnika Jakutów, niezwykła w stronach północnych, budzi myśl, silącą się odgadnąć koleje losów tego nieszczęśliwego wygnańca, którego nazwisko nosi obecny książę jakucki. Jakie okoliczności wyrzuciły go po za granice ziemi ojczystej? Czy naczelnik Jakutów jest jego potomkiem? Czy też tylko w dobie przejścia na wiarę chrześcijańską przybrał któryś z przodków księcia nazwę ojca chrzestnego, jak to bywa we zwyczaju u Jakutów¿ Takie i inne podobne pytania stawiliśmy sobie, ale odpowiedzi na nie uzyskać w najbliższem naszem ówczesnem otoczeniu nie było można.

Wdzięczni byliśmy naczelnikowi za pośpiech i gorliwość, z jaką wykonał zlecenia, poczynione przed odjazdem naszym z Bałuna, a mając już teraz zapewnione wszystkie potrzebne środki do odbycia powrotnej drogi na dolinę Leny, postanowiliśmy, zanim śnieg pokryje tundrę, zwiedzić jeszcze najbliżej od naszego obozowiska niniejszego, na wschód położony przylądek Krestowski. 1-go września wyprawiliśmy wszystkie nasze zbiory i cały obóz do osady Bor-Syr, a sami z kozakiem i jednym przewodnikiem ruszyliśmy na wschód, dążąc do rzeczonego przylądka. Pogodę mieliśmy niepomyślną, mianowicie wiatr silny, wiejący od strony morza, przy temperaturze poniżej zera i chmury gęste, mające wygląd chmur zimowych, zdawały się nam proroczyć śnieżycę. Po kilkugodzinnej podróży po torfowiskach, spuściliśmy się w wąską dolinkę rzeczki Krest, zawaloną literalnie drzewem, spławionem przez rzeki, przejechaliśmy ją w poprzek i minąwszy kilka wzniesień, występujących w formie tarasów, stanęliśmy u zachodniej ściany przylądka krestowskiego; nie mogąc z powodu silnej fali, rozbijającej się o skały nadbrzeżne, obejść go od strony morza, postanowiliśmy wejść na płaszczyznę szczytową i próbować ztamtąd spuścić się na dół ku jego podstawie, lecz i ten projekt nie dał się wykonać, albowiem ściany boczne są bardzo strome, a dolinki tak wązkie, że raczej szczelinami nazwać je byłoby można. Szczeliny te są wypełnione śniegiem, zlodowaciałym u spodu, zaś w wyższych poziomach, pokrytym pyłem atmosferycznym. Varstwy piaskowca bez wszelkich skamieniałości i takież margle tworzą massyw przylądka, są one pochylone pod kątem 60-ciu stopni w kierunku północno-wschodnim. Długość przylądka wynosi wiorst kilka, przy szerokości nie większej nad pół wiorsty; z północnego cypla widać bywa w jasne dnie latem. według słów przewodnika, ląd jakiś daleki, prawdopodobnie są to wyspy Nowo-syberyjskie, może wyspa Stałbawaja albo Kotielna, a może też i miraż tylko sprawia takie złudzenie dalekiego lądu Dawniej na wyspy Nowo-syberyjskie jeździli Jakuci na psach, porą wiosenną, około 10. maja mianowicie, ażeby ztamtąd przywozić kły mamutów, mające się znajdować w wielkiej obfitości.

Przy pomyślnych warunkach podróży wyjeżdżając z przylądka Bykowskiego, położonego u wschodniej granicy delty rzeki Leny, droga tam i napowrót trwać miała 40 dni. Do jednej narty zaprzęgano przy takich wyprawach 14 psów i kładziono ciężaru 25 pudów.

W późniejszych czasach zaniechano tych podróży z powodu wielkich niebezpieczeństw, na jakie się narażali jadący. Niebezpieczeństwa te opisał admirał Wrangiel, kreśląc historję prób, które sam wykonał, starając się dostać na wyspy; w nowszych czasach zwiedzał wyspy Nowo-syberyjskie baron Tol z polecenia Akademji umiejętności, a zaś w drodze do nich umarł Jan Czerski, wysłany przez tę samą Akademję w Petersburgu. Widok lądu stałego od strony przylądku Krestowskiego jest rozległy i bardzo charakterystyczny. Tundra wysoka, ztąd rozpatrywana, wydaje się jedną obszerną płaszczyzną, niby olbrzymi ołtarz jakiś, szerokimi stopniami opatrzony, które w formie poziomych i równoległych tarasów wznoszą się jeden nad drugim. Te stopnie tarasowate wywołują wrażenie, jak gdyby stanowiły one kiedyś po kolei wybrzeża morskie w wiekach dalekiej przeszłości.

Zwiedziwszy przylądek Krestowski, ruszamy w kierunku do osady Bor Syr; nocujemy po drodze w rozwalonym schronisku w dolinie rzeczki Krest. W nocy z 1. na 2. września wypadł śnieg obfity, temperatura spadła jeszcze niżej, niż wczoraj i raptem otoczył nas krajobraz zimowy, z którym się już rozstawać nie mieliśmy nadziei aż do końca drogi. 2-go września, po całodziennej podróży, po śniegu odbytej, przybyliśmy już późno wieczorem do osady, gdzie nas oczekiwały obozy nasze: stary i nowy. Tu był kres i koniec zajęć letnich, ztąd miała się rozpocząć droga powrotna zimowa, ciężka, nudna i długa, jak zima polarna.

Przygotowania do tej drogi zabrały nam całe cztery dni czasu, musieliśmy bowiem przełożyć wszystkie nasze rzeczy i porobić z nich pakunki równe ażeby z nich każdy osobno wzięty, ważył nie więcej nad 5 pudów. Taki pakunek kładzie się na jedną nartę, zaprzążoną w dwa renifery; a ponieważ bagaż nasz obecny ważył stokilkadziesiąt pudów, musieliśmy więc mieć około 30 nart, 60 reniferów pod sam bagaż tylko, pod narty przewodników i narty dla nas przeznaczone, trzeba było mieć do 20 reniferów; następnie licząc na to, że mogą się trafić dnie odwilży raptownej, musiano brać ze sobą i renifery wierzchowe, stąd też obóz nasz niniejszy miał pozór całej karawany kupieckiej.

Tutaj w osadzie musieliśmy się zaopatrzyć w ciepłe, zimowe ubrania, w futra podróżne pieściowe, worki do spania „kukule“ i t. p., ażeby módz jechać całe dnie, wystawieni często na mróz, ścinający w czasie zimy rtęć w termometrach. Dopiero 6. września opuściliśmy nasze obozowisko w dolinie rzeczki Bor-Syr, pożegnawszy sympatycznych, uprzejmych i usłużnych mieszkańców porzecza Oleneka i rozstając się na zawsze z okolicami, gdzie tyle chwil przyjemnych spędziliśmy podczas naszej podróży.

Znajomi Czekanowskiego żegnali go z serdecznością prawdziwą, umiał on bowiem zjednać serca tych poczciwych ludzi grzecznością swoją i swoją wiedzą leczniczą. Z apteczki podróżnej udzielał chorym lekarstwa i zyskał renomę znakomitego doktora, którego powrotu w latach następnych oczekiwać miano z niecierpliwością, a i on sam marzył nieraz o tem, ażeby jeszcze raz zawitać na Olenek, gdy będzie wracał z wyprawy na Anabar i Chatangę.

MYŚLI.

I.

Człowiek jest nurkiem, szukającym pereł w gorzkiem morzu; czy znajdzie perły? pytanie, lecz że nabierze w usta pełno gorzkiej wody, to niezawodne.

II.

Człowiek jak zwierzę w lesie; nie wie nigdy, z której strony gałęź na niego spadnie.

III.

Człowiek nietylko w dziedzinie sztuki tworzyć może arcydzieła; częstokroć, aby oprócz samego życia, podźwignąć brzemię innej jeszcze pracy, musi z istoty własnej utworzyć arcydzieło cierpliwości.

IV.

Życie nie jest podarunkiem, lecz pożyczką, z terminem krótszym, czy dłuższym, od której płacić trzeba większe lub mniejsze odsetki w postaci trudów, trosk i bólu. Szczęśliwymi są ci, którzy w tym kierunku nie padli ofiarami lichwy.

El. Orzeszkowa.

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY.

LENORA.

6) (Na temat Bürgera).

(Dokończenie.)

VI.

— Włóż, dziecko moje, białą sukienkę i welon — i przystrój warkocz w wonny kwiat pomarańczy. Przysłał go Konrad, świeżo rozkwitły, nie martwy, nie sztuczny. O zróbże to dla Konrada! On tak niezmiernie dobry... Odrzuć żałobę, bo rani ona nas wszystkich w samo serce. Matka jego już taka słaba, taka wiekowa staruszka. To ja i ona uszyłyśmy ci własnoręcznie ten skromny strój śnieżno-biały. Dla niej i dla mnie, i dla niego uczyń to, dziecię jedyne... Żadnej wystawy i żadnych świadków, prócz obu rodzin naszych. Czy wolno też będzie naszemu kochanemu, naszemu wielkiemu przyjacielowi i wielkiemu artyście zagrać ci na kościelnych organach. On tak kojąco, tak słodko umie przemawiać do ciebie w czarownym swym języku?...

— Róbcie, co chcecie, najdrożsi. Ja nic zapewne widzieć i słyszeć, i czuć nie będę — taka już bierność nieprzebrana ogarnia istotę moją...

VII.

Boczny ołtarz starej świątyni zda się być słabem ogniskiem, rozniecónem wśród białych trzonów pysznego lasu kolumn. Zaledwie kilka kandelabrów migoce na mrocznem tle kościoła — i tylko gdzieś w wyżynie nawy, pod łagodnemi arkami, zamiera słaby lazur, ostatnia barwa dnia gasnącego. U dołu wielka ciemnia, a w niej, jak jedna wielka iskra, świeci się ołtarz koronką kamienną bramowany.

Stanęła właśnie przed nim szczupła grupa ludzi. Na przedzie wysoki mężczyzna, nieco pochylony — niby troską i niepokojem, niby wielką czułością opiekuńczą dla wspartej na nim istoty białej, lekkiej i wiotkiej, jak seraficzne marzenie.

Po przez chmurkę przeźroczą zasłony prześwieca profil niezwykle czysty i piękny, ale zmącony dziwnym wyrazem pół lęku, pół-boleści. Po ustach, dziecinnie małych i świeżych, błąka się czasem uśmiech, wywołany słowami otaczających, ciepłą pieszczotą ich wzroku. Lecz oczy wielkie, błyszczące i trwożne — toną co chwila w olbrzymich falach mroku, z których wypływa ołtarz złoty, jak złota arka Noego. Woń słodka a namiętna ślubnego kwiatu, kadzidło oblubieńców, ściele się pod stopy kolumn, wzbija się wiewnym obłokiem ku ciemniejącym w górze lazurom.

— Veni creator spiritus!... — brzmi cichy, drżący głos starca księdza.

— Veni creator spiritus! — powtarza za nim błagalny i uroczysty głos bez wyrazów, lecz wyrazistszy po nadewszystkie wyrazy.

I zdaje się białej oblubienicy, że tam pod ciemne te filary, zabłądził syn jakiejś puszczy przedwiecznej, przedwiecznie rozkochany w księżycu, gwiazdach i niebie. Naiwny i dziki zarazem, proroczo płonący i trwożny — szuka pod szafirową zasłoną oblicza Pana zastępów.

— Ukaż się, zaświeć ziemi, o Władco ubóstwiany! — wzywa ten pieśniarz prastary, tłumiąc potężne fale głosu bojaźnią korną, lękiem świętym — i jeden ten świeży, mocny, ale łagodny głos zdaje się być całym chórem anielskim, zamierającym w oddali. Wreszcie ekstaza ubóstwienia przemaga. Głos zda się płonąć wielkiemi żarami, coraz potężniej grzmi w górze, aż oto harda jego kaskada wzbija się świętokradzko aż przed sam tron niebieski — i nagle kona, rozbita o stopnie jego brylantowe...

— Z własnej nieprzymuszonej woli...

Gwałtowny wicher nagle wstrząsa ołtarzem. Znowu ten sam niby łopot skrzydeł, — czarnych i tajemniczych, nocnego ptaka-olbrzyma — pędzi przed sobą ów złowieszczy wicher. Chłód przejmujący, wilgotny rozwartej ziemi owiewa drżące ciało dziewczyny. W mroku goreją znowu źrenice pełne piorunów, wołają usta klątw pełne.

— Bądź potępiona! o bądź przeklęta, marna zdrajczyni!

— Ty! Ty znowu!... Boże! Boże! — nieludzki krzyk rozlega się w świątyni.

— To ja! to ja przy tobie, kwiateczku mój biały. Cicho, aniołku mój żałosny! Unoszę cię już w ramionach, tulę, osłaniam cię, bronię ciebie. Już koniec, koniec, wszystkiego! Na zawsze już pozostaję przy tobie! O prędzej, prędzej z tych wilgotnych mroków — na światło prawdziwe!...

— Aniołku mój, kwiateczku mój biały! Tyś moja już, tyś moja — poślubiona! Nikt

cię już mi nie odbierze! Nikt już nie stanie między nami.

Umilkły śpieszne, urwane słowa kapłana, ucichły klątwy i groźby w mrokach nawy — i tylko cichy, słodki, nadziemsko-cudny głos brzmi przy niej coraz wyraźniej, szepce miłośnie i błaga:

— Pójdź ze mną, królewno biała moja! Tyś moja, zawsze tylko moja! Dziwny ten głos ucisza bicie jej serca. Zamiera ono słodko i milknie, jak trwożny gołąb, kryjący się w kwiatach.

— Zwalczyłem ziemskich rywali. Pójdziesz ze mną, podzielisz królestwo moje, oblubienico nadziemska.

Pełna zdumienia i lęku patrzy przed siebie rozszerzonemi źrenicami. Wzrok jej oślepia nagle jasność, utkana z tęcz i różowych obłoków, ze złotych promieni słońca, ze srebrnych mgieł księżycowych.

I w tej jasności, jaśniejszy i promienniejszy od wszystkiego — pochyla się ku ukochanej swojej on, zmarły jej królewicz. Ramię jego otacza jej kibić, pełne tęsknoty i pragnienia boskie źrenice jego toną w jej oczach niewolniczych, pokornych... Pochyla się i składa na ustach jej pocałunek, błogosławiony, jak raju tchnienie... palący jak płomień piekła.

— Nareszcie tyś moja niepodzielnie!

Pan młody-wdowiec stoi przez chwilę milczący i zastygły. Oczy jego odprowadzają spokojnie białe, wysmukłe ciało, unoszone na barkach czarno ubranych ludzi. Przeciągły, nieustający, okropny krzyk kobiecy, nie budzi go z zamyślenia, nie wzrusza go wcale.

I wreszcie mówi cicho, lecz wyraźnie do tych, co go otaczają:

— Natychmiast „ich“ dogonię.

Szkice z nad Niewiaży.

18)

(Dokończenie).

W pow. nowo-aleksandrowskim w r. 1889 okazało się, że 708 dzieci młodszych od lat 12 umiało czytać po rosyjsku, osób zaś starszych ponad ten wiek 5168, czyli razem 5876, co stanowi około 4% ogółu ludności włościańskiej. Nawiasem dodam, że wedle danych urzędowych, umiało czytać po litewsku 13%, po polsku zaś przeszło 3%; w 4 gminach białoruskich umiało czytać po polsku 4894, po rosyjsku 807; po litewsku (w gminie Rymszańskiej) 898 osób. Język urzędowy posiadało 37% ogółu ludności wiejskiej; nawiasem dodam, że południowo-wschodnia część powiatu, zamieszkana przez Białorusinów katolików, etnograficznie i geograficznie należy do Białej Rusi. Ludność ta nazywa siebie Polakami, ale urzędowo została zaliczona do rosyjskiej. (Pamiętnik gub. kowieńskiej na r. 1895, str. 172—173).

W pow. szawelskim w 1894 r. narachowano umiejących czytać po rosyjsku: 1016 dzieci młodszych od lat 12, oprócz 6192 osób starszych ponad ten wiek, czyli razem około 7200 osób, t. j. 5·5% ogółu ludności wiejskiej; językiem państwowym władało 14.649 osób, t. j. prawie 11%. (Pamiętnik gub. kow. na r. 1896, str. 142).

»W pow. poniewiezkim — mówi urzędowy Pamiętnik gub. kow. na r. 1898, str. 110 — w r. 1890 otrzymano dane następne, rozumie się, przybliżone: dzieci poniżej 12 lat wieku, umiejących czytać po rosyjsku, okazało się 636, a osób powyżej tego wieku 8008, czyli razem 8644 osób, albo 6·2% ogółu ludności... Umiejących mówić po rosyjsku okazało się 16.888 osób, czyli 14 do 15% ogółu ludności włościańskiej“.

Dane te, ściśle urzędowe, rzucają pewne światło na rezultaty nauczania, oraz urzeczywistnienia celów, które założyła u nas obecna szkoła ludowa. Warto podkreślić, iż w drodze urzędowej z ubolewaniem stwierdzono fakt, o którym oficjalny Pamiętnik gub. kow. na r. 1890 tak mówi: »Uczących się w tym powiecie (rosieńskim) było 1427 chłopców i 230 dziewczynek, ale z tej liczby do stanu włościańskiego należało 937 chłopców i 63 dziewczynek; jeżeli przypuścimy, że liczba uczących się dzieci stanu włościańskiego wyniesie do 1000, to ilość umiejących po rosyjsku chłopów winna znacznie przenosić 5000 osób, ponieważ szkoły mogły dostarczyć tej ilości piśmiennych w ciągu 5—6 lat. Oczywiście, że wiele osób, które nauczyły się po rosyjsku, wskutek

różnych przyczyn wpada w recydywę niepiśmienności po rosyjsku«. (Pamiętnik cytowany str. 110). Fakt ten stwierdzono też w powiatach innych. »Licząc wogóle 1700 uczących się w r. 1893, należących do stanu włościańskiego, oraz porównywając tę liczbę z liczbą umiejących po rosyjsku 5886, wypadnie zrobić wniosek, stosujący się i do innych powiatów gub. kowieńskiej, że wiele z pośród osób, które nauczyły się po rosyjsku, bardzo prędko wpada w recydywę niepiśmienności« — mówi Pamiętnik gub. kow. na r. 1895, na str. 174 o ludności wiejskiej pow. nowo-aleksandrowskiego.

O ludności włościańskiej pow. szawelskiego źródło urzędowe wyraża się tak: »Jeżeli przypuścimy, że z ogólnej liczby uczących się 1912, do ludności wiejskiej należy tylko 1000—1200 dzieci, to za czas istnienia szkoły rosyjskiej cała ludność dorosła powinna umieć czytać po rosyjsku lub przynajmniej władać językiem państwowym. Z tego wynika bez zaprzeczenia, że recydywa niepiśmienności i zupełnego zapomnienia języka rosyjskiego jest faktem niewątpliwym w pow. szawelskim, jak i w innych«. (Pamiętnik gub. kow. na r. 1896 str. 142).

W związku przyczynowym z teraźniejszą szkołą ludową opinja publiczna stawia straszliwie wzmagające się pieniactwo wśród ludu, które stało się prawdziwą klęską społeczną; niewątpliwie w tem zdaniu kryje się bardzo dużo prawdy. Prawda ta rzuciła się w oczy nawet urzędnikom, ludziom światłym, a sumiennie badającym życie ludu; p. Gukowskij, sekretarz miejscowego komitetu statystycznego, badacz bezstronny i sumienny... z wielu względów, wyraził ją tak: »Pieniactwo zakorzeniło się w zwyczajach ludności miejscowej aż do głębi... Praktyka adwokacka zaczęła bardzo nęcić nietylko piśmiennych żydków małomiasteczkowych, ale nawet wiejską młodzież, która nauczywszy się umiejętności czytania i pisania w języku urzędowym, wyszła ze sfery życia włościańskiego, a do innej pracy nie mogła i nie umiała przysposobić się. Jest to odwrotna i bardzo brzydka strona sprawy rozpowszechnienia umiejętności czytania i pisania, o którą my tak staramy się". (Pamiętnik gub. kow. na r. 1896 str. 165).

To uznanie jest ważnem, miejmy nadzieję, że i władze naukowe z biegiem czasu przyjdą do przekonania, że nie godzi się robić szkoły narzędziem polityki, a przytem takiej, która doprowadzić może tylko do rezultatów ujemnych; osiągnięto już je częściowo, ale nim okażą się dalsze skutki »diejatielej«, starają się nader gorliwie popierać szkolnictwo rosyjskie, tudzież usuwać recydywy niepiśmienności w języku urzędowym. W tym ostatnim celu, z inicjatywy p. Klingenberga, osławionego bohatera krożańskiego, w r. 1893 założono 61. bibljoteczek ludowych przy szkołach najgłówniejszych. Katalog, ułożony przez dyrekcję szkół ludowych, obejmuje dziełka treści religijno-moralnej w duchu Kościoła wschodniego, historycznej, geograficznej i przyrodniczej, oraz życiorysy, powieści, opowiadania i bajki; na dział rolniczo-gospodarczy zwrócono baczną uwagę. Katalog ten rozesłano instytucjom włościańskim i urzędom gminnym. Jednocześnie też dyrekcja wypracowała, a p. kurator zatwierdził specjalny regulamin w sprawie utrzymywania i korzystania z tych bibljotek ludowych. Wedle tego regulaminu, bibljoteki ludowe zakładają się „w celu rozpowszechnienia wśród ludności wiejskiej umiejętności czytania po rosyjsku", tudzież wiadomości pożytecznych i »pojęć prawidłowych«. Źródła ich utrzymania są następujące: a) sumy asygnowane corocznie przez gminy na »kapitał szkolny«; b) remanent roczny szkół parafjalnych; c) zapomoga — w razie potrzeby — od okręgu naukowego, oraz d) ofiary prywatne, wszakże z zastrzeżeniem, że książki można składać w darze tylko za pozwoleniem dyrekcji.

Dozór nad bibljotekami ludowemi poruczono okręgowym inspektorom szkolnym. Liczba bibljotek wzrastała stopniowo, tak, że w dniu 1. (13.) stycznia 1895 r. istniały już one przy wszystkich szkołach ludowych męzkich (152) i żeńskich (7), oraz przy 13 parafjalnych; liczyły zaś razem 9811 dziełek, w 10.700 tomach, które kosztowały 3786 rub. i 37 kop. Wedle sprawozdania za r. 1895, bibljoteki miały 4896 czytelników, którzy wzięli do przeczytania 8794 książek; przeciętna działalność bibljoteczki przy szkole męzkiej wyraziła się wypożyczeniem 54 książek 29 czytelnikom, a przy żeńskiej 22 książeczek 11 czytelniczkom; w bibljoteczkach przy szkołach parafjalnych było przeciętnie po 28 czytelników, którzy wzięli 40 książek.

Warunki wypisywania książek są następne: nauczyciel, uwzględniając wymagania czytelników, wybiera tytuły książek z katalogu przepisanego i przedstawia swój wybór do zatwierdzenia dyrekcji, która uwzględnia różne okoliczności, oraz wysokość sum, przeznaczonych na to. P. Klingenberg rozkazał gminom wydać po 12 rub., które na r. 1894, następnie na lata 1895 i 1896 nakazano na bibljoteki ludowe asygnować z kas gminnych od 10—15 rub. Po jego usunięciu rozkaz ów, jako bezprawny, poszedł w zapomnienie, bo jego następca jest człowiekiem zupełnie odmiennym, nieco więcej zwracającym uwagę na legalność.

Wedle sprawozdania, największą poczytnością cieszą się dziełka, traktujące o gospodarstwie rolnem, potem zaś treści historycznej i geograficznej. Szkoda, że sprawozdania są bardzo niedokładne, n. p. nie podają żadnego podziału czytelników na kategorje, co pozwoliłoby określić ilość włościan-czytelników. Tu warto nadmienić, że po wprowadzeniu monopolu wódczanego, założono t. zw. »kuratorje trzeźwości«, które zakładają herbaciarnie, starając się zaopatrywać je w wydawnictwa ludowe rosyjskie, oraz pisma perjody-

czne; niepowodzenie tych herbaciarni, urządzanych z początku z pewną elegancją i zaopatrzonych w utwory piśmiennictwa rosyjskiego, już dziś skłoniły kuratorję do zmian pewnych: nowozakładane herbaciarnie już nie posiadają żadnych pism rosyjskich.

Kończąc, dodaję słów parę o zmianach, które zaszły w poglądach administracji na nauczanie potajemne: przekroczenia tego rodzaju, t. j. sprawy o utrzymywanie szkół potajemnych należały do sądów okręgowych, które nie widziały w tem nic tak bardzo złego, karząc winnych z konieczności małemi grzywnami, nie przenoszącemi nigdy rubla.

W r. 1892, na mocy prawa z dnia 15. (3.) kwietnia, wyjęto te sprawy z pod kompetencji sądowej, przekazując administracji, t. j. decyzji wspólnej wielkorządcy wileńskiego i kuratora okręgu naukowego; mogą oni skazywać na grzywnę do 300 rub., lub areszt do 3 miesięcy, ale paręset zapadłych decyzji było względnie łagodnych: grzywny nie przenosiły 50 rub., a areszt 2 tygodni! Komentarze wszelkie zbyteczne: fakty przemawiają jasno a wyraźnie.

Jan Syrokomla.

Z pism i książek.

— *Echa z Sybiru* przez *Z. P.* Lwów. Księgarnia Polska 1900.

Idea patrjotyzmu, zasadniczy składnik utworów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i wielu innych, idących w ich ślady, przez poetów dzisiejszych do niedawna usuwaną była na plan drugi. Dopiero teraz coraz częściej staje się ona tematem dla powieściopisarzy, dramaturgów i poetów współczesnych. Dość wspomnieć Zycha „Syzyfowe prace“, Maskoffa „Zaszumi las“, oraz utwory sceniczne: „Tamten“ i „Sybir“.

W poezji, jak dotąd, znajduje ona najsłabsze odbicie, chociaż i tu, z zadowoleniem skonstatować się da, że nietylko pseudo-poeci, w pseudo-poetycznych utworach, pomieszczanych jak na urągowisko w pismach humorystycznych, miotają niezdarne oburzenia na zaborców naszych — ale że nasza martyrologja polityczna, nasze cele narodowe znajdują coraz silniejszy oddźwięk w utworach prawdziwie poetycznych.

Ukazują się nawet tomiki, poświęcone patrjotycznej idei, jak np.: „Patria“ Lubonia, lub „Warszawa“ Stena. Co do tych dwu publikacji, z przykrością jednakże przyznać należy, iż, mimo treści sympatycznej, prawie wcale nie odpowiadają one wymogom artystycznym. Inaczej się przedstawia zacytowany zbiorek: *Echa z Sybiru.*

Autorka przedewszystkiem nie popadła w napuszystość i krzykactwo, któremi małe talenta zastępują intensywność uczucia, a co tak razi w utworach poetycznych — nie osłabiło to jednakże wcale, a raczej wzmocniło szczerość uczucia, jakiem się utwory p. Z. P. odznaczają.

Treścią tych utworów prześladowanie i gnębienie każdej myśli wolniejszej za kordonem, przez Moskali, więzienie, katorga i „posielenie“.

Na tle tem powstało kilka bardzo udatnych ze stanowiska estetycznego, a wstrząsających ze względu na treść obrazków. Niekiedy tylko autorka popada w rozwlekłość i za wiele się odwołuje do czytelnika — ale te usterki pochodzą prawdopodobnie stąd, że autorka się jeszcze nie „wypisała“ — usterki te jednakże sowicie wynagradzają szczerość, ciepło patrjotycznego uczucia i bezpretensjonalność poezji p. Z. P.

Adam Stodor.

— *Stanisław Srokowski. Fridtjof Nansen i jego wyprawa do bieguna północnego* (z portretem i mapą). Kraków 1899. (Odbitka z „Przeglądu Polskiego“). Dziełko powyższe składa się z pięciu rozdziałów, z których pierwszy poświęcony jest ogólnej charakterystyce Nansena, oraz opisowi przygotowań do jego wyprawy, drugi opisowi podróży „Frama“ aż do chwili, gdy śmiały podróżnik, wraz ze swym towarzyszem Johansenem, puścił się w podróż saniami na północ, pozostawiając „Frama“ wśród zamarzniętej kry, aby prawie półtora roku przepędzić na poszukiwaniach tak obfitych w rezultaty, cenne dla wiedzy. Tej części wyprawy Nansena poświęca autor — jako najważniejszej — szczególną uwagę. Ostatni rozdział opisuje powrót „Frama“ do ojczyzny. Dziełko p. Srokowskiego, nie zawierając niepotrzebnego balastu naukowego, w przystępny i interesujący sposób przedstawia wyprawę Nansena i ze stanowiska naukowego ocenia jej wyniki.

— *H. G. Wels. Podróż w czasie.* Przekład z angielskiego p. F. Wermińskiego. Warszawa 1900. Nakł. Bronisława Natansona.

Książka interesująca. Jest to rodzaj fantazji, opartej na przypuszczeniu, że prócz zwykłych trzech wymiarów istnieje jeszcze czwarty — w czasie. A jak za pomocą zwykłych machin przenosić się można z miejsca w miejsce, tj. zmieniać punkt w trzech wymiarach, tak samo za pomocą maszyny, wynalezionej przez bohatera tej opowieści fantastycznej poruszać się można dowolnie w czasie. Zbudowanie tej maszyny dało „podróżnikowi w czasie“ sposobność do obejrzenia sobie ludzkości tak, jak wyglądać ona będzie za parę tysięcy lat. Interesującą jest hypoteza autora, że za kilka lub kilkanaście tysięcy lat ludzkość składać się będzie z dwóch odrębnych ras ludzkich, z których jedna, żyjąca na powierzchni ziemi, będzie spadkobierczynią zwyciężającej naturę ludzkości, druga zaś, gnieżdżąca się pod ziemią, odziedziczy z kultury współczesnej tylko obowiązek pracy, złe warunki bytu i zwyrodnienie fizyczne. W hypotezie tej, która oczywiście krytyki nie wytrzymuje, odbija się kontrast pomiędzy warunkami bytu klas wyższych a nędzą miejską Londynu, jako miejsca pobytu autora. Przekład dobry.

K. R.

— *Wisły* ostatni zeszyt przynosi sporo materjału, mogącego zaciekawić najszersze koło czytelników. Przytaczamy niektóre z nich, np. „Wierzenia ludowe w okolicach Krzywicz, w pow. wilejskim“ p. J. Kiborta, „Kilka bajek i śpiewek z Małopolski“ p. K. Kietlicz-Rayskiego, ciekawe zestawienie dwóch pieśni ludowych, odpowiadających bajkom Grimma przez Z. A. K., szkic „Z wycieczki na Podlasie“ M. R. Witanowskiego, „Kilka podań żmujdzkich“ p. M. Wawrzenieckiego, „Kronika geograficzna“ p. W. Nałkowskiego, tudzież szeroko traktowany dział „Poszukiwań“ i bibljografji.

Zajmująca jest notatka p. M. Wawrzenieckiego o „szwedzkich dołach“ u nas, w przeciwstawieniu do „polskich dołów“ w Danji. Otóż jeden z takich „dołów szwedzkich“ znajduje się w Radzie pod Skierniewicami.

„W czasie moich badań — pisze p. M. W. — nad pozostałościami zamku w Rawie, właściciel folwarku, zwanego „Starostwo“ lub „Zamkowa Wola“, p. Kotliński, oprowadzając mnie po polach, przylegających od północno-wschodniej strony do rzeczki „Rylska“, a więc o jakie 100 — 150 metrów od ruin zamku odległych, wskazał dość znaczne wgłębienie terenu (rodzaj dołu), mające wygląd zwykły „nieużytku“, tj. nieuprawnego, obrosłego trawą i krzakami miejsca, i objaśnił. iż wgłębienie to mieszkańcy Rawy i Zamkowej Woli zowią „Szwedzki dół“. Znaczenia tej nazwy nikt mi objaśnić nie umiał; niewyraźna tylko tradycja niosła, iż w ten dół „szwedów rzucano“; w jakim wszakże celu czynność tę spełniano, oraz czy rzucani byli umarli, czy żywi, tego nikt zapewno nie wiedział“.

Tenże sam autor opowiada na innem miejscu o „wierze w sny u turków“.

„W czasie mojego pobytu w Warnie (1897 r.) opowiada p. M. Wawrzeniecki — wychowaniec szkoły turyńskiej, inżynier okręgowy departamentu warneńskiego, Zygmunt Wawrzeniecki, pokazał mi dokument urzędowy. wystosowany przez jednego z właścicieli ziemskich w okolicy doliny Kamczyka, opiewający, iż skutkiem snu, jaki tenże właściciel, turek, miał pewnego razu, jest zmuszony własnym kosztem wystawić most na rzece w pobliżu swojego „czyflika“ (folwarku); prosi tedy, aby wyasygnowano mu odpowiedni materjał drzewny z lasów rządowych, do czego zarząd departamentu przychylił się. Inżynier okręgowy z Szumen (Szumli), a obecnie inżynier komunikacji z ramienia ministerjum w Warnie, p. Miller (słowak rodem), w rozmowie ze mną zaznaczył, iż większość „czeszm“, t. j. obmurowanych studni, któremi Bułgarja jest literalnie zasiana, pochodzi z takich właśnie sennych rozkazów. Wiara w sny u turków jest tak silna, iż w czasie, gdy z pomienionymi inżynierami odbywałem 25-kilometrową wycieczkę do Deli-Kamczyka, owej dziwnej rzeki, wspomnianej jako Kameża w kronikach, a w której bagnistych lasach rozgromieni w r. 1444-ym pod Warną polscy i węgierscy żołnierze szukali schronienia przed turkami, śród drogi, na stromej pochyłości, spotkaliśmy starego turczyna, usilnie naprawiającego popsutą drogę. Zapytany, z czyjego polecenia tak gorliwie pracuje, odrzekł, iż miał sen, nakazujący mu drogę na ten „boir“ (górę) naprawić. Sen ten sumiennie wypełniał, bo, wracając późnym wieczorem, jeszcze zastaliśmy go przy pracy, co w kraju, gdzie wszelka czynność uważa się za „złe konieczne“, daje pojęcie o sile wiary w sny“.

Pomiędzy innemi fundacjami, z tego samego źródła (nakazu we śnie) powstałemi, p. M. Wawrzyniecki wymienia jeszcze kawiarnie czyli „hany“, wydające kawę uboższym bezpłatnie.

— *Gustaw Daniłowski. Nego.* Nowele. Nakładem Bronisława Natansona. Warszawa 1900.

Na tomik o 218 str. złożyło się aż — siedem nowel. Gdyby była tylko jedna, mianowicie nowela „Wigilia“ nic by czytelnik na tem nie stracił.

„Wigilia“ — jak to proste opowiadanie o wysiłkach, z jakiemi wdowa, mieszczanka „z waszecia“ zdołała swego jedynaka utrzymać w gimnazjum aż do ukończenia. Potem chłopak idzie dalej sam — o własnych siłach. Z uniwersytetu po raz pierwszy po długiej nieobecności w domu, ma przyjechać na święta Bożego Narodzenia. Matka wyczekuje go niecierpliwie mija oznaczona pora — jedynaka niema. Jak grom uderza ją wieść, że studentów poaresztowano — i jej syna między innymi.

Wieczerza wigilijna stygnie, matka oddechu w piersiach złapać nie może, czując że dotknęła ją dłoń jakaś, w obec której na nic nie przydały się protesty, i skargi, i walka... Wieczerza wigilijna stygnie.

Tematem nieco zbliżonym do powyższego odznacza się nowela „Nego“ i „wesoły pasażer“. Jak tamta, tak i te zaczerpnięte z odmętów, które tak świetnie charakteryzował Zych w „Syzyfowych pracach“. Ale ani pomysłem, ani określeniem charakterów, ani językiem nie wznoszą się ponad bardzo przeciętną mierność. Co do pozostałych czterech, to są one jeszcze słabsze.

K. R.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.